

**MROK POD
POWIEKAMI**

KATARZYNA KUŚMIERCZYK

MROK POD POWIEKAMI

JEGLINISZKI, MAJ 2023

© Copyright by Katarzyna Kuśmierczyk

Wydawnictwo: KDSysem
wydawnictwo@kdsystem.com.pl

Korekta:
Bożena Sigismund
Janusz Sigismund

Skład i przygotowanie do druku:
Adrian Szatkowski

Druk i oprawa
Sowa sp. z o.o.
ul. Raszyńska 13, 05-500 Piaseczno
www.sowadruk.pl

ISBN 978-83-948872-4-7

Wszystkie wydarzenia i osoby opisane
na kartach powieści są fikcyjne.

Przyjaciółom, którzy zapomnieli...

PROLOG

Bieluszevska wiosna nadeszła wraz z powrotem żurawi. Najpierw zaczęły topnieć warstwy zlodowaciałego śniegu, z każdym słonecznym dniem było coraz mniej białych połaci, a przybywało ogromnych rozlewisk pokrywających okoliczne pola i łąki. Dzień stawał się coraz dłuższy, pachniało wilgotną ziemią, a zrudziała trawa powoli zamieniała barwę w soczystą zieleń. Niemal codziennie widziałam klucze ptaków przelatujących nad moim domem, aż któregoś dnia usłyszałam długo wyczekiwany klangor, niosący się echem nad bieluszewskim jeziorem. To był nieodzowny znak, że przedwiośnie rozgościło się u nas na dobre.

Prawie połowa mojej ziemi znalazła się nagle pod wodą, ograniczając nam znacznie obszar spacerów. Nuka aż się rwała w stronę lasu, wyglądającego teraz jak część jeziora, z którego wyrastały powyginate, bezlistne olsze. Jedyne suchy skrawek zagajnika pokrył się dywanem niebieskich przyłasczek, wśród których pyszniła się niewielka krzewinka obsypana różowym kwieciami. Mój własny wawrynek wilczyko! Nie wiem, czy to ten użyty przez Weronikę, ale kiedy na niego patrzyłam budził wspomnienia koszmaru, jaki rozegrał się tu zimową porą. Na szczęście poza tą roślinką nic więcej mi o nim nie przypominało.

Po serii mrocznych i tajemniczych wydarzeń, wraz z ekshumacją zwłok poprzednich właścicieli, siedlisko stało się oazą spokoju. Wprawdzie nadal się jeszcze nie opatrzyłam tubylcom, ale też przestałam być powszechnym obiektem plotek, a i coraz częściej przejeżdżały

pod moim domem samochody. Jeszcze do niedawna ludzie nadkładali drogi, żeby tylko nie mijać „Przekłętego uroczyska”. Teraz ja byłam coraz bardziej „swoja”, a siedlisko zostało kompletnie oswojone.

Ani przez chwilę nie żałowałam przeprowadzki. To magiczne miejsce było tylko moje i pachniało pradawną magią. Wiedziałam, że za żadne skarby świata nic mnie stąd nie wyciągnie, z każdym dniem coraz bardziej przesiąkałam Bieluszewem, czując wewnętrzny spokój i harmonię. Coś mówiło mi, że tak już będzie zawsze – i jak zawsze „coś” się pomyliło.

Nie byłam gotowa na kolejną przygodę, ale nikt się mnie o to nie pytał.

I

Zwykle na dźwięk budzika reaguję schowaniem głowy pod kołdrę, ale nie dzisiaj. Dzisiaj miał być wyjątkowy dzień. Mój brat przyjeżdża do Bieluszewa wraz ze swoją nową kobietą. Jeszcze jej nie widziałam, ale z opisu Michała wynikało, że to najpiękniejsza, najmądrzejsza i najmilsza istota na ziemi. Byłam bardzo ciekawa Pani „Naj”, ale jeszcze bardziej interesowała mnie niespodzianka, o której wspomniał przez telefon. Podobno miała zwalić mnie z nóg. Moja pierwsza myśl dotyczyła zmiany jego stanu cywilnego. Wprawdzie z Lucyną znali się niecały miesiąc, ale wiedziałam, że w kwestii uczuć mój brat bywał nieprzewidywalny i nie lubił kompromisów. Na szczęście nie tym razem. Na moje pytanie, czy mam się spodziewać zaproszenia na ślub, roześmiała się tylko głośno.

– Zgłupiałaś, siostra, czy pijesz coś od rana? – Uspokoił mnie w swoim stylu. – Ale myślę, że się ucieszysz – zakończył tajemniczo.

Po takiej odpowiedzi jeszcze bardziej zżerała mnie ciekawość i nie mogłam się już doczekać ich wizyty. Nic nie dały moje podchody i próby wyłudzenia informacji, Michał był nieugięty, muszę poczekać do ich przyjazdu. No to czekałam i z niecierpliwością rozpoczęłam przygotowania. Bardzo się starałam, żeby wszystko wypadło idealnie, podobno pierwsze wrażenie jest najważniejsze.

Tym razem nie chciałam zaliczyć żadnej wpadki, więc zamówiłam mnóstwo pysznego jedzenia. Odkąd wyrobiłam sobie chody u tutejszej sklepowej – pani Zosi, miałam nieograniczony dostęp do świeżych lokalnych produktów, jeszcze świeższych plotek, no i wejście do ekogospodarstwa, w którym można było kupić fantastyczne regionalne

dania. Korzystałam z tych przywilejów pełnymi garściami, co niestety odbijało się na mojej coraz bardziej krągłej figurze.

Teraz wracałam do domu obładowana pachnącymi zakupami. Miałam kilka rodzajów sera z Wiżajn, wędzonego pstrąga, pasztet z gęsi, wędliny z Ejszeryszek, chleb na zakwasie, a do tego kartacze, krokiety i podlaski przysmak – Marcinek, składający się z piętnastu warstw ciasta przełożonych śmietanowo-cytrynowym kremem. Nie mieściło mi się w głowie, że ktoś upiekł piętnaście placków, żeby zrobić jedno ciasto, to była dla mnie niepojęta abstrakcja.

* * *

Zdziwiłam się, wjeżdżając na podwórko. Przed domem stało auto Michała. Mieli przyjechać dopiero po południu, a ledwie dochodziła jedenasta. Szybko zrobiłam rachunek sumienia, co też mogłam zostawić rozwalonego na środku na tyle, żebym musiała się wstydzić? Wyszło mi, że nic, więc uspokojona zabrałam siaty i z firmowym uśmiechem „Jak miło cię poznać”, weszłam do domu.

Już od progu uwagę przykuwał jej denerwujący śmiech wypełniający całe domostwo, a właściwie powinnam powiedzieć, że był to nerwowy chichot. Ale nie ocenia się książki po okładce, a niewiasty po śmiechu, choćby nawet mocno kłuł w uszy. Obiecałam bratu, że dam z siebie maksa i miałam zamiar dotrzymać słowa.

– Dzień dobry! – Nie zdejmując kurtki, z marszu weszłam do salonu.

Michał natychmiast wystartował w moim kierunku, przesłaniając mi widok siedzącej na fotelu kobiety.

– No cześć! – Przytulił mnie mocno na powitanie. – Przed chwilą przyjechalśmy, właśnie się zastanawiałem, gdzie zniknęłaś. – Wziął ode mnie torby. – Pozwól, że ci przedstawię... – Cofnął się i dopiero

teraz mogłam zobaczyć jego towarzyszkę. – Lucyna Maj, Lutka, poznaj moją siostrę Matyldę. – Dokonał oficjalnej prezentacji.

Pani Naj – Lusja Maj, nie wiedzieć czemu przemknęła mi przez głowę idiotyczna rymowanka. Stałyśmy naprzeciw siebie, ściskając swoje dłonie i lustrowaliśmy się od stóp do głów. Nie wiem, co zobaczyła ona, ale ja byłam trochę rozczarowana. Nie tak sobie wyobrażałam moją potencjalną bratową. Kobieta, która stała obok mnie, mogła mieć zarówno czterdzieści, jak i sześćdziesiąt lat. Zgrabna, niewysoka brunetka, z burzą czarnych loków, szaroniebieskimi oczami w oprawie czarnych, gęstych rzęs, małym noskiem z kilkoma piegami i dużymi wydatnymi ustami. Można by rzec: skończona piękność. Tylko że niewiele w tym pięknie natury zostało, więc trudno było odgadnąć, co tak naprawdę kryje się za sztuczną fasadą. Wzrok przykuwały nadmiernie zarysowane brwi i długi, gęste rzęsy, do tego ostrzyknięte usta, a w policzki wpompowano tak dużo wypełniacza, że wyglądały jak u małego chomika. Może dałabym się nabrać na ten współczesny ideał, gdyby nie ręce i szyja, które niekoniecznie potwierdzały wizerunek nastolatki. Podobno w tych miejscach najtrudniej zamaskować wiek i w tym przypadku ta teoria się sprawdzała. Całość uzupełniał delikatny makijaż i nienagannie skrojone, obcisłe spodnie w fuksjowym kolorze, podkreślające jej fantastyczną figurę.

– Cześć, nie mogłam się już doczekać, kiedy cię poznam. Michał ciągle o tobie opowiada – odezwała się pierwsza, teatralnie cmokając powietrze po obu stronach mojej twarzy.

– Ciebie również. – Zmusiłam się do uśmiechu, chociaż nie zamierzałam niczego obcałowywać. – Cieszę się, że już jesteście. Świetne perfumy. – Nie wiem, dlaczego to powiedziałam, bo pachniała mieszanką piżma i drzewa sandałowego, których nie znosiłam. Jak ja to potem wywietrzę?

– Dziękuję. – Rozpromieniła się. – To specjalna receptura robiona przez moją znajomą. Zamówię dla ciebie flakonik.

– Tak, koniecznie – ucieszyłam się fałszywie, ledwie panując nad grymasem zniesmaczenia. – Przygotowałam dla was pokój na gorze, więc możecie się rozpakować, a ja w tym czasie zrobię kawę i pokroję ciasto. – Sprytnie pozbyłam się ich z kuchni, żeby w spokoju ochłoniąć i rozpakować zakupy.

* * *

Godzinę później, po wysłuchaniu serii zachwyków nad siedliskiem i urokami Suwalszczyzny, kończyłam przepytywanie Lucyny. Jeżeli na początku zrobiła na mnie nie najlepsze wrażenie, to wraz z każdą kolejną odpowiedzią, moja niechęć do niej rosła w siłę. Nie wiem, dlaczego Michał ją wybrał? To była Anka dwa, tylko starsza, zliftingowana i bardziej cwana.

Podobnie jak jej poprzedniczka, Lucyna była zmanierowaną egoistką, skoncentrowaną wyłącznie na swoich potrzebach i próbującą podporządkować sobie otoczenie. Robiła to jednak w inny sposób niż Anka. Nie żądała, nie wymuszała niczego dąsami i krzykiem, tylko ze słodką miną trzepotała rzęsami i ładnie prosiła spieszczonym, gardłowym głosem. A mój rozsądny i teoretycznie odporny na głupotę brat, patrzył na tę pretensjonalną istotę maślanymi oczami. Nie mogłam uwierzyć, że tego nie widzi i daje się tak manipulować.

Właśnie kończyła opowieść, jak zabrał ją na pierwszą randkę.

– Michaś był uroczy – komplementowała, nie odrywając od niego wzroku. – Taki szarmancki, silny, a jednocześnie nieśmiały i delikatny. Kiedy wziął mnie za rękę, poczułam dreszcz...

Michaś?! Nie! No, nie zniosę tego dłużej, chyba nie chciałam wiedzieć tego wszystkiego. Nie interesowały mnie tak osobiste szczegóły ich

spotkań. Spojrzałam na Michała, ale wpatrywał się w nią z uwielbieniem i zachwytem w oczach, nie dostrzegając niczego wokoło. Dość tego!

– A co robisz zawodowo? – Staralam się przekierować rozmowę na bardziej neutralne tory. Zresztą byłam bardzo ciekawa, co może robić taka kobieta jak ona?

– Jakby to powiedzieć – zachichotała – jestem takim wolnym strzelcem.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Teraz to mnie zaintrygowała.

– No wiesz – przewróciła oczami – różnie. Robię to, czego oczekują zleceniodawcy.

Na końcu języka miałam pytanie, czy próbuje powiedzieć, że jest call girl, ale na szczęście ubiegł mnie Michał.

– Oj, przestań – śmiał się w głos – wkręca cię. Zajmuje się modą i poradami urodowymi. Poznaliśmy się w siedzibie redakcji „Piękna dla siebie” – rzucił nazwę bijącego rekordy popularności plotkarskiego magazynu dla kobiet. – Negocjowali ważną umowę. Mój wspólnik ich obsługuje, ale zbiegły mu się terminy z równie ważną sprawą. Żadnej nie dało się przełożyć, więc wyjątkowo musiałem go zastąpić i tam na siebie wpadliśmy. Lutka jest gwiazdą pisma – w jego głosie brzmiała duma. – Ma najbardziej poczytną kolumnę.

Byłam zaskoczona, nie spodziewałam się, że mam do czynienia z dziennikarką, ale tematyka idealnie do niej pasowała, musiała się w tym czuć jak ryba w wodzie.

– Czytałaś nas? – Zainteresowała się.

– Nie, nie miałam okazji – odpowiedziałam dyplomatycznie.

Nie chciałam, żeby poczuła się urażona, ale nie czytywałam takich magazynów. Nudziły mnie i nie wnosiły zbyt wiele w moje życie. Miałam wyrobiony styl i gust, zarówno w modzie, jak i w makijażu, a ostatnio preferowałam „fason bieluszewski”, co oznaczało spięte włosy, zero tapety i strój niekoniecznie seksowny, za to wygodny i ciepły. Poza tym

przez kilka poprzednich miesięcy ostatnią rzeczą, która mnie interesowała były trendy w modzie i porady pseudoekspertek, celebrytek, przesyczone reklamami sponsorowanych produktów.

– Oj, to szkoda – zmartwiła się – ale jak chcesz, to przywiozę ci kilka numerów. Na pewno ci się przydadzą i znajdziesz tam coś dla siebie – zmierzyła mnie krytycznym wzrokiem profesjonalistki.

– Taak? No to bardzo ci będę wdzięczna – powiedziałam najśłodszym głosem, na jaki mnie było stać, chociaż miałam ochotę dokładnie jej wytłumaczyć, gdzie może sobie wetknąć to swoje pisemko.

Nie wiem, czy zauważyła sarkazm, ale z pewnością wyczuł go Michał. Widziałam, jak zmienił mu się wyraz twarzy i czujnie przysłuchuje się naszej rozmowie. Chyba nawet dla niego to było zbyt wiele, bo nagle zmienił temat.

– Pamiętasz, jak mówiłem, że mam niespodziankę?

– Pamiętam. – Ożywiłam się. W końcu rozmawialiśmy o czymś, co mnie interesowało.

– Chcę kupić ziemię na Suwalszczyźnie – wypalił.

– Serio? To fantastyczny pomysł! – Ucieszyłam się. – Masz już upatrzoną działkę?

– No właśnie za pół godziny jestem umówiony z pośrednikiem, dlatego przyjechaliśmy trochę wcześniej. Ma mi pokazać pięć nieruchomości. Jedną w Udziejku i po dwie w Malesowiznie i Szurpiłach.

– Wiesz, że jadę z tobą – stwierdziłam kategorycznym tonem.

– Wiem, wiem – westchnął żałośnie. – Nawet nie próbowałbym cię odwozić od tego pomysłu, bo to nierealne.

– A ja wolałabym zostać – niespodziewanie wtrąciła się Lucyna. – Jeśli mogę, oczywiście. – Uśmiechnęła się do mnie przymilnie.

– Pewnie – zgodziłam się chyba zbyt entuzjastycznie. Bardzo mi to było na rękę, będę mogła w końcu sama pogadać z bratem. – Czuj się jak u siebie w domu.

- Coś się stało? – zaniepokoił się Michał.
- Nie. – Ściągnęła usta. – Jestem po prostu zmęczona i boli mnie głowa, więc chciałam się położyć i odpocząć.
- Oczywiście, kochanie. Odpocznij! – Pocałował ją w policzek. – Podróż rzeczywiście była uciążliwa. – Zresztą dzisiaj nie będę niczego kupował, jedziemy tylko pooglądać. Jak coś wstępnie wybiorę, to zdecydujemy razem.

Lucyna wyglądała na zadowoloną i od razu ewakuowała się na górę. Kiedy przechodziła obok Feliksa i wyciągnęła rękę, żeby go pogłaskać, ten prychnął i nastroszył ogon. Hm, jeżeli mój kot jej nie lubi, to ja też będę miała z tym problem, myślałam, odprowadzając ją wzrokiem.

* * *

Byłam zachwycona wybranymi lokalizacjami, wszystkie parcele leżały w granicach Suwalskiego Parku Krajobrazowego lub w jego otulinie. Pośrednik musiał się bardzo postarać, bo Michał chciał, żeby działka miała co najmniej pół hektara, pagórkowate ukształtowanie i była usytuowana w okolicach lasu i jeziora. No i najważniejsze, musiała istnieć możliwość budowy domu, choćby letniskowego.

O ile wszystkie nieruchomości spełniały kryteria wielkości i lokalizacji, to z tą stuprocentową pewnością budowy nie było już tak łatwo. Tylko Malesowizna miała w części uchwalony plan zagospodarowania przestrzennego, w pozostałych przypadkach musiały wystarczyć zapewnienia pośrednika o dobrej woli urzędu gminy lub pozostałości dawnej zabudowy, które teoretycznie dawały gwarancję uzyskania pozwolenia.

Wróciliśmy ubłoceni, zmęczeni, ale szczęśliwi i usatysfakcjonowani. Dwa miejsca szczególnie przypadły nam do gustu. Zrujnowane siedlisko, otoczone starym sadem w Malesowiznie i ładna, kształtna,

częściowo zalesiona działka z linią brzegową jeziora Szurpiły. W obu przypadkach grunty spełniały wszystkie kryteria Michała. Widziałam, jak mu się oczy świeciły do tej ziemi. Wprawdzie zarzekał się, że to tylko dobra lokata kapitału, ale nie przestawał mówić o projektach domu i ekologicznych technologiach. Podobał mi się taki brat, jakby zupełnie zapomniał o swojej warszawskiej kancelarii. A jeszcze bardziej podobała mi się myśl, że będzie mieszkał tak blisko.

Kiedy w końcu pożegnaliśmy zmęczonego nami pośrednika, doprowadziliśmy do porządku Nukę, która natychmiast zaczęła chrapać na tylnej kanapie samochodu, i wyruszyliśmy w drogę powrotną, stwierdziłam, że lepszej okazji na rozmowę już nie będzie.

– Dlaczego ona? – wypaliłam bez zbędnych wstępów.

Michał chyba spodziewał się takiego pytania, bo nie wyglądał na zaskoczonego.

– A dlaczego nie? – odpowiedział po krótkiej przerwie. – Mati, to piękna, inteligentna i znająca swoją wartość kobieta. Przy niej nie muszę niczego udawać. Nie ma wygórowanych oczekiwań, nie zależy jej na obrączce i kontrolowaniu wszystkiego dookoła. To przyjemna odmiana po wymagającej i wiecznie spiętej Ance.

– Ile ona właściwie ma lat?

– A jakie to ma znaczenie? – odpowiedział pytaniem Michał.

– W sumie żadnego, ale chcę wiedzieć. – Brnęłam dalej, aczkolwiek rzeczywiście, jej wiek był mi całkowicie obojętny i nie stanowił żadnej miary udanego związku.

– Skończyła pięćdziesiąt sześć lat... – Nie był zadowolony, że to z niego wyciągnęłam. – Ale to niczego nie zmienia. Fakt, że kobieta jest bardziej doświadczona życiowo to dla mnie zaleta, a nie wada.

– Wiesz, że nie o wiek mi chodzi – odpuściłam, starannie dobierając słowa. – Mówisz, że ona jest inna niż Anka, a ja uważam, że jest dokładnie taka sama, tylko ma subtelniejsze metody manipulacji. Nie

wiem, czy ty tego nie widzisz, ale okręciła sobie ciebie wokół palca, Michasiu – dodałam uszczypliwie.

– Nie wiem, o co ci chodzi! – Nerwowa odpowiedź Michała świadczyła o czymś wręcz odwrotnym. – W niej nie ma nic sztucznego...

– No błagam cię – przerwałam, śmiejąc się szyderczo. – Nic poza botoksem, wypełniaczami, brwiami, paznokciami...

– Przestań – teraz on wszedł mi w zdanie i powiedział to takim tonem, że zrobiło mi się głupio. – Jestem z nią szczęśliwy i tyle mi wystarczy, a ty nie masz prawa mnie oceniać. Zresztą przypominam, że to ty zawsze utyskiwałaś, że ludzie oceniają innych po wyglądzie i pozorach.

Zamknęłam się, bo trudno znaleźć ripostę na takie stwierdzenie. Miał rację, nie miałam do tego prawa. Szczególnie ja, nie dość, że nie zauważyłam zdrady własnego męża, to potem związałam się z facetem, który miał przede mną mnóstwo tajemnic i byłam całkowicie ślepa na oczywiste sygnały. Marna ze mnie ekspertka, a do tego rzeczywiście moje komentarze na temat wyglądu innej kobiety były, delikatnie mówiąc, nie na miejscu.

W milczeniu i kiepskim nastroju wjechaliśmy na podwórko i mimo że bardzo się starałam, nie dało się już przywrócić beztroskiej atmosfery, jaka panowała przed tą nieszczęsną rozmową. Chyba tylko Lucyna niczego nie zauważyła, bo albo coś opowiadała o swojej pracy, albo męczyła mnie pytaniami o mroczną historię siedliska. Zbyłam ją, ale grzecznie, żeby Michał znowu się na mnie nie obraził, i podobnie jak ona wcześniej, uciekałam na górę, tłumacząc się bólem głowy.

Odetchnęłam z ulgą, kiedy następnego dnia rano odebrała telefon, że jest jakiś problem z domknięciem numeru pisma i wieczorem muszą być w Warszawie. Zamykając za nimi drzwi, zdałam sobie sprawę, że po raz pierwszy chciałam, żeby mój brat już wyjechał i było mi z tego powodu bardzo przykro.

II

Reszta weekendu i początek tygodnia upłynął mi na nadrabianiu zaległości w pracy. Przez mój pobyt w szpitalu i okres rekonwalescencji, nabierało się tego całkiem sporo i ciągle nie mogłam wyjść na zero. Wprawdzie nadal pracowałam na umowę zlecenie i to ja dyktowałam warunki, ale wiedziałam, że szef jest w sytuacji podbramkowej i nie ma mnie kim zastąpić. Przejrzałam więc informacje o audytach i wybrałam trzy, które byłam w stanie zrobić do końca marca. Przynajmniej pracować mogłam w spokoju, nie martwiąc się tak przyziemnymi sprawami jak gotowanie i zakupy, bo moi goście, wyjeżdżając w pośpiechu, zostawili mnie z okazałymi zapasami jedzenia, poczynionymi na poczet ich kilkudniowej wizyty.

* * *

Całkowicie pogrążyłam się w pracy i kiedy w czwartek wysłałam pierwszą analizę, skonstatowałam, że moja dobrze zaopatrzona lodówka zaczyna świecić pustkami. Najwyższa pora na małą przerwę. Narzuciłam kurtkę i nawet nie spoglądając w lustro, zamknęłam drzwi do domu.

Dopiero w czasie jazdy uzmysłowiłam sobie, jak wielkie zmiany zaszły w moim życiu. Jeszcze pół roku wcześniej mieszkałam we Wrocławiu. Codzienne wyjście do biura wymagało godzinnych przygotowań, a moja szafa pękała w szwach od żakietów, bluzek, sukienek, szpilek i torebek. Nawet wychodząc do sklepu, musiałam wyglądać perfekcyjnie. Teraz do wyjścia wystarczyły mi wygodne buty i ciepła kurtka.

Ostatnie pięć miesięcy uświadomiły mi, jak wiele rzeczy było zbędnych w moim życiu i kompletnie przewartościowały moje podejście do świata. Kiedy moi znajomi pukali się w głowę, z niedowierzaniem patrząc na moje poczynania, ja oddychałam pełną piersią i zastanawiałam się, dlaczego tyle lat zmarnowałam w „tamtym” życiu. Teraz, podskakując na wyboistej szutrówce, chłonęłam widoki, które wart były wszystkiego, co zostawiłam za sobą i wiedziałam, że nie oddałabym tego za żadne pieniądze.

* * *

Kiedy tylko weszłam do sklepu, wiedziałam, że coś jest nie w porządku. Czułam się, jakbym cofnęła się w czasie i znowu odtwarzały się sceny sprzed kilku miesięcy. W pomieszczeniu było parę osób, które na mój widok zareagowały dość nerwowo. Czułam na sobie takujące spojrzenia i słyszałam podekscytowane szepty. A myślałam, że odkąd Bieluszewo przestało być przeklętym siedliskiem, to ja przestałam wzbudzać sensację. Widać kolejny raz się myliłam.

Napakowałam pełny koszyk produktów i ustawiłam się w kolejce do kasy. Szkoda, że nie było pani Zosi, która uraczyłaby mnie wszelkimi nowinkami. Ale za ladą stała dziś postawna kobieta w moim wieku, której dotychczas jeszcze nie spotkałam.

– Karta czy gotówka? – zapytała po skasowaniu ostatniego produktu.

– Karta – mruknęłam, bo jakoś wyparował ze mnie pozytywny nastrój.

– A może gazetkę pani kupi? – Wyciągnęła ze stojaka jakieś kolorowe czasopismo. – Świeżutka, dzisiaj przyszła.

– Nie, dziękuję – podałam jej kartę. – Chociaż zaraz... proszę poczekać...

Ekspedientka trzymała w rękach egzemplarz „Pięknej dla siebie”. Nigdy dotąd nikt nie proponował mi żadnego magazynu, więc dlaczego właśnie dzisiaj i właśnie ten miesięcznik? Instynktownie poczułam niepokój.

– Niech mi pani doliczy to pisemko.

Na twarzy kobiety pojawił się nieokreślony grymas, który mógł oznaczać zarówno drwinę, jak i tryumf. Szybko złapałam zakupy, bąknęłam „Do widzenia” i nie rozglądając się na boki, prawie wybiegłam ze sklepu.

Z trudem powstrzymałam się, żeby natychmiast nie zajrzeć do gazety. Spojrzałam w stronę marketu, kilka osób wyglądało przez okno, z zainteresowaniem śledząc moje poczynania. Wpakowałam więc zakupy do bagażnika, ostentacyjnie rzuciłam na nie czasopismo i wsiadłam za kierownicę. Ręce mi się trzęsły, kiedy odpalałam silnik, ale z pokerową twarzą skierowałam się w stronę domu.

* * *

Nawet nie rozpakowałam zakupów. W przedpokoju zrzuciłam kurtkę i buty, i natychmiast wyjęłam gazetę. To, czego szukałam, widoczne było już na okładce, wystarczyło się lepiej przyjrzeć.

Tylko u nas – fotorelacja z nawiedzonego domu – krzyczał nagłówek na tle bieluszewskiego jeziora. Zrobiło mi się niedobrze. Przekartkowałam pismo, na trzeciej stronie znalazłam reklamowany artykuł – autorka Lucyna Maj.

Byłam wściekła! Na nią, na Michała, na własną głupotę! Przecież powiedział mi, że to dziennikarka, co z tego, że z jakiegoś beznadziejnego pisemka. Dziennikarka! To powinno mi dać do myślenia. A ja, jak skończona idiotka, zostawiłam ją samą w domu na cztery godziny. Brawo ja!

Wzięłam kilka głębokich wdechów i zaczęłam czytać. Opisała z grubsza historię wszystkich trzech morderstw i okoliczności odnalezienia zwłok poprzednich właścicieli siedliska. Ja zostałam przedstawiona jako lokalne medium, które wyczuło „pozaziemskie vibracje” i „potrafiło znaleźć wspólny język z duszami zmarłych”, a pod koniec tekstu nazwała mnie podlaską Panną Marple. Kompletnie bzdury! Miałam ochotę wytargać ją za ten wyfiokowany łeb. Co ona sobie w ogóle wyobraża? Cały artykuł okraszony został zdjęciami lasu, jeziora, ale też piwnicy, gdzie zakopane były zwłoki Marcjanny i co mnie uderzyło najbardziej, ślubnym zdjęciem Weroniki i Jufusa. Brakowało tylko krzyża pokutnego, a to pewnie dlatego, że aby tam teraz dotrzeć, musiałyby się zamoczyć po pas w lodowatej i mętnej wodzie jeziora.

Wiedza Lucyny była imponująca i znacznie wykraczała poza dotychczasowe przekazy prasowe. Oczywiście było, że większość tych informacji musiała usłyszeć od Michała. Najwyższa pora porozmawiać z braciszkiem. Podniosłam komórkę, żeby wybrać jego numer, kiedy rozległ się dźwięk telefonu – o wilku mowa!

– Cześć – starałam się mówić opanowanym tonem.

– Mati, przepraszam. – Jego głos brzmiał żałośnie. – Nawet nie wiem, jak mam ci to powiedzieć...

– Nie musisz – przerwałam mu obcesowo. – Właśnie „to” – zaakcentowałam – trzymam w ręku.

– Uwierz mi, nie miałem pojęcia o artykule. I nie zamierzam jej tego darować! – Teraz Michał był rzeczywiście wściekły. – Jeszcze dzisiaj prześlę ci pełnomocnictwo do podpisania. Zamierzam ich pozwać w twoim imieniu... Ją też – dodał po chwili cichym tonem.

Zrobiło mi się go szkoda. Ciągle pamiętałam słowa, jakie padły podczas naszej ostatniej rozmowy: „Przy niej nie muszę niczego udawać”, „Jestem z nią szczęśliwy”... Michał musiał czuć się fatalnie. Nie dość, że nieświadomie sprzedał część swojego życia, to jeszcze został

zdradzony i upokorzony przez ukochaną kobietę. Czułam, jak moja złość zmienia się w litość.

– Dobra, przyślij. Ale tylko jeżeli faktycznie tego chcesz – zmieniłam ton na bardziej pojednawczy. – Przykro mi, że znowu oberwałeś, ale wiedz, że jestem porządnie wkurzona. Na ciebie też, bo to ty przyprowadziłeś ją do mojego domu. – Mimo całego mojego współczucia, nie potrafiłam do końca powstrzymać złości.

– Wiem, przepraszam, siostra. – Jęknął. – Nie jestem ci w stanie tego wynagrodzić i nie cofnę czasu, ale możesz być pewna, że ta redakcja zafunduje ci wymarzone wczasy w Nowej Zelandii. – Powiedział to takim tonem, że dla odmiany zrobiło mi się szkoda Lucyny.

Jeszcze nie wiedziała, z kim zadarła. Mój brat był świetnym prawnikiem, ale kiedy walczył o coś, na czym istotnie mu zależało, stawał się bezkompromisowy i zawzięty, żeby nie użyć określenia bezwzględny. Dziewczyna nie miała pojęcia, na co się porywa i tym razem nie pomogą słodkie minki i trzepotanie rzęsami. Michał nigdy jej nie wybaczy. Wizja sponiewieranej Lucyny poprawiła mi trochę humor.

– Rozmawiałeś już z nią?

– Nie, ale właśnie mam zamiar – potwierdził moje przypuszczenia. Wiedziałam, że Michał nie odmówi sobie konfrontacji. – Tylko najpierw wystosuję oficjalne pismo w sprawie zaprzestania naruszenia twoich dóbr osobistych, bezprawnego wykorzystania wizerunku, wycofania nakładu czasopisma, usunięcia artykułu z ich strony internetowej i zapłaty odszkodowania. – Wyliczał. – Wyjdzie jeszcze dzisiaj, moi aplikanci już nad tym pracują. Masz jakieś uwagi?

– Nie mam. – Zupełnie się na tym nie znałam. Niech pisze, co chce, daję mu wolną rękę, przecież i tak zrobi to najlepiej. Co do tego nie miałam najmniejszych wątpliwości. – A co z zakupem działki?

– To chwilowo musi poczekać. Skłaniałem się w stronę Szurpił, ale dzwonił pośrednik, że znalazł jeszcze dwie interesujące oferty.

Umówiłem się z nim w przyszłym tygodniu, tylko nie wiem, czy mogę liczyć na nocleg?

– Weź się nie wygłupiaj. – Rozbawił mnie tym stwierdzeniem. – Jeżeli tylko przyjedziesz bez kolejnej modliszki, to zawsze jesteś tu miło widziany.

Słyszałam, jak odetchnął z ulgą. Najwyraźniej bardzo się przejął tą nieszczęsną sytuacją. Znałam go jak nikt na świecie, więc wiedziałam, że ta historia będzie mu jeszcze długo ciążyła, a poczucie winy spowoduje, że będę mogła prosić o wszystko, i wszystko dostanę.

– No to jesteśmy umówieni! – Poweselał. – Biorę się do roboty i jak coś będę wiedział, dam ci znać.

– OK – zakończyłam połączenie.

Nadal byłam zbyt roztrzęsiona, żeby pracować. Obeszłam cały dom, sprawdzając, czy wszystko jest na swoim miejscu. Szczególnie interesowała mnie szkatułka od pani Marceliny, pełna pamiątek po Weronice, ale ta na szczęście stała na komodzie, nadal zamknięta na kluczyk schowany w szufladzie. Nie pojawiła się także w relacji Lucyny, więc prawdopodobnie nie miała o niej pojęcia, tak jak o moim związku z Cieszymirem. Najwyraźniej Michał w swoich opowieściach pominął moje sprawy osobiste i przedstawił jej tylko kryminalno-ezoteryczny wątek historii. Cóż, w obecnej sytuacji dobre i tyle.

III

Kilka kolejnych dni minęło we względnym spokoju, odmierzanych moimi postęпами w audytach i relacjami telefonicznymi Michała z prowadzonego postępowania. Zgodnie z jego przewidywaniami redakcja skłonna była pójść na ugodę. Wprawdzie nie wycofali nakładu pisma, zresztą i tak nie wierzyliśmy, że to zrobią, ale ze strony internetowej zniknęły zdjęcia domu i Chwiećków, a to już był spory sukces. Wiem także, że Michał spotkał się z Lucyną. Nie chciał mi opowiedzieć, co się między nimi wydarzyło, ale zaraz potem redakcja zaproponowała mi pokąźną kwotę za straty moralne. Moja prywatność została wyceniona na okrągłe czterdzieści tysięcy i podobno to było całkiem nieźle jak na realia brukowców. Mój brat upierał się, że możemy wywalczyć sporo więcej, ale nie miałam ochoty na ciągnięcie się po sądach, a co za tym idzie, ryzyko kolejnych zdjęć, reportaży albo doniesień prasowych.

Przyjęłam propozycję i nieśmiało zaczęłam się rozglądać za wycieczką do Nowej Zelandii. W końcu kasa miała posłużyć poprawie mojego samopoczucia, a wiedziałam, że nic mi go bardziej nie polepszy niż spełnienie mojego wielkiego marzenia.

* * *

Klnąc pod nosem, wracałam z Suwałk. Końcówka drugiej połowy marca nas nie rozpieszczała. Porywiste wiatry, ulewne deszcze i pożegnane przymrozki spowodowały pogodowy koszmar, który przełożył się na jakość dróg gminnych. Teraz od Ługieli jechałam ostrożnie i dwa razy wolniej, a i tak dziury były na tyle duże, że zdarzało mi się

szorować zawieszeniem po podłożu. Woda płynęła strugami, wymywając coraz większe odcinki szutrówki, do tego powstało kilka niebezpiecznych zapadlin, a zsuniecie się tam koła groziło koniecznością szukania kogoś, kto zechce mnie wyciągnąć z błotnistej mazi.

Jeszcze gorzej wyglądały okoliczne łąki, podobno takich rozlewisk nie widziano tu od lat. Ponad połowa pastwisk była zalana, woda stała dosłownie wszędzie, a zapowiedzi meteorologów nie brzmiały optymistycznie. Przez następne półtora tygodnia nadal miało grzmieć, wiać i lać.

U mnie również nie wyglądało to najlepiej, wprawdzie nie groziło mi podtopienie, bo dom stał na wzgórzu, ale straciłam dojsście do jeziora. Od trzech dni woda nie mieściła się w przepuście i przelewała się nad nasypem, zajmując coraz większy teren. Cieszyły się z tego bociany i żurawie, które niepodzielnie królowały nad rozlewiskami.

* * *

Odetchnęłam z ulgą, kiedy na horyzoncie pojawił się mój dom, ostatni odcinek był najmniej podmyty, więc nie powinny tu czekać żadne niespodzianki. Przyspieszyłam i z impetem wjechałam na podwórko. W ostatniej chwili udało mi się wyhamować, bo na moim miejscu parkingowym stało stare, zdezelowane, niebieskie cinquecento. Zaparkowałam obok i podeszłam do auta. Na przednim siedzeniu siedziała jakaś dziewczyna. Miała rudoblond włosy splecione w gruby warkocz, bladą, wychudzoną twarz i zamknięte oczy. Zapukałam delikatnie w okno, ale nie zareagowała, złapałam więc za klamkę, jednak auto było zamknięte. Zdecydowanie mocniej zabębniłam w szybę.

– Halo, proszę pani! Wszystko w porządku?!

Otworzyła oczy i zaczęła rozglądać się na boki, wyglądała na zdezorientowaną. Jeszcze raz uderzyłam w okno samochodu.

– Proszę pani! Proszę otworzyć! – Wydarłam się jeszcze głośniej.

Widziałam, jak na jej twarzy pojawia się przeblysłk zrozumienia, wyglądała, jakbym ją wyrwała z głębokiego snu. Chwilę to trwało, zanim odblokowała zamek i wysiadła z auta.

– Dzień dobry! – Nie potrafiła ukryć śpiwnego, miękkiego akcentu, charakterystycznego dla naszych wschodnich sąsiadów. – Ja do was. Chyba usnęła, czekając.

Patrzyłam na nią w osłupieniu, to musiała być Rosjanka albo Ukrainka. Była dość wysoka, szczupła, miała lekko kwadratową szczękę z mocno zarysowanymi kośćmi policzkowymi, szerokie mięsiste usta i ogromne brązowe oczy.

– Do mnie? – Zdziwiłam się. – Chyba się pani pomyliła. Może do moich sąsiadów? – Niedawno poznałam sympatyczną rodzinę sołtysa Bieluszewa i wiedziałam, że prowadzą agroturystykę, więc może chce wynająć pokój?

– Nie, ja przyjechała do was – stwierdziła kategorycznie. – Wy jesteście medium Matylda. – Wyciągnęła pomięty egzemplarz „Pięknej dla siebie” – Ja poznała ten dom na zdjęciach.

Przez chwilę gapiłam się na nią, próbując poukładać w głowie to, co właśnie usłyszałam.

– To jakiś żart? Wkręca mnie pani? – Niedowierzałam.

– Nieee – chlipnęła – ja muszu z wami pomówić. – Zadrzała.

Dopiero teraz przyjrzałam się jej dokładnie, była ubrana w cienki, czerwony, wytarty płaszczyk, na szyi miała zawiązaną kwiecistą chustę, a stopy obute w przemoknięte tenisówki. To nie był strój odpowiedni na tę porę roku.

– Niech pani wejdzie. – Otworzyłam drzwi, a Nuka natychmiast zaczęła ją obszczekiwać. – Proszę się nie bać, nic pani nie robi. – Przytrzymałam psa, widząc, jak się cofnęła w przestkach. – Proszę zdjąć płaszcz, zrobię gorącej herbaty i porozmawiamy spokojnie.

Nie miałam ochoty na żadną rozmowę, ale nie mogłam jej odesłać w takim stanie. Dziewczyna cała dygotała, nie wiem czy z zimna, czy ze zdenerwowania. Pięć minut później postawiłam przed nią parującą herbatę i podsunęłam talerz z keksem.

Przez chwilę milczałam, patrząc, jak grzeje sobie ręce o gorący kubek. Miała jakieś dwadzieścia pięć lat, mocno podkrążone oczy i niespokojnie pocierała dłońią o naczynie. Z jej twarzy powoli ustępowała sina bladeść i pojawiły się lekkie rumieńce.

– Lepiej pani?

– Da, to znaczy tak – poprawiła się szybko. – Dziękuję.

– Jak ma pani na imię? – musiałam jakoś zacząć rozmowę.

– Aliya. – Pociągnęła nosem. – Aliya Stokowa.

– Ja nazywam się Matyllda Ryster. Możemy mówić sobie na ty? – Zapropnowałam. – Łatwiej będzie się nam rozmawiało. – Uśmiechnęłam się zachęcająco. – Opowiesz mi, co cię do mnie sprowadza?

W milczeniu pokiwała głową, wpatrując się we mnie ogromnymi oczami przerażonego dziecka. Drgnęła gwałtownie, kiedy Felix zniehacka wskoczył jej na kolana, ale nie zrzuciła go na ziemię. Kot ułożył się w kłębuszek, a ona gładząc machinalnie jego futerko, zaczęła swoją opowieść:

– Ja was przepraszam. Ciebie przepraszam – znowu się poprawiła – że tak bez zapowiedzenia tu przyszała, ale nie wiedziałam, co mam robić. A dzisiaj w pracy wpadła mi w ręce ta gazeta, no i tam stoi napisane, że ty się duchami zajmowała, i potrafiłaś się ich pozbyć ze swojego domu. Koleżanka z raboty powiedziała mi, że Bieluszewo leży niedaleko, ot i jestem – zakończyła, jakby to miało wszystko wyjaśnić.

– Aliya, ale dlaczego chciałaś ze mną rozmawiać? – Próbowałam zachować resztki spokoju.

– Noo... – zaczęła nerwowo skubać rękaw swetra – bo w tej chałupie, co ja mieszkam, też duchy są – wypaliła.

– I co w związku z tym? – Ostatnie, na co miałam ochotę, to wysłuchiwanie opowieści o cudzych duchach, ledwo się swoich pozbyłam. Ale teraz nie miałam już chyba wyjścia. – Możesz mówić jaśniej?

– Ja chcę, żebyś ty te duchy też odesłała! – Wbiła we mnie błagalne spojrzenie.

– Aliya – westchnęłam – połowa z tego, co tam jest napisane, to nieprawda. Ta gazeta to szmatławiec, nie możesz wierzyć w takie brednie. To wszystko zostało wyolbrzymione, nie jestem żadnym medium, a już na pewno nie mam żadnych metafizycznych zdolności – przekonywałam cierpliwie.

– A druga połowa?

– Co druga połowa? – Nie rozumiałam.

– Powiedziałas, że połowa tego, co napisali, to nieprawda. Czyli druga połowa jest prawdziwa? Miałaś tu duchy? – Trwożnie rozejrzała się na boki.

– No miałam – potwierdziłam.

– I pozbyłaś się ich?

– Pozbyłam – pokiwałam głową zrezygnowana.

– No widzisz – ucieszyła się. – To moje też odeślij.

W sumie to jej rozumowanie było całkiem logiczne, skoro poradziłam sobie raz, to poradzę sobie kolejny. Traktowała mnie jak ostatnią deskę ratunku, nie wiedziałam, co mam powiedzieć na takie dictum.

– Dobrze – marzyłam, żeby już sobie poszła, a mimo to brnęłam dalej – opowiedz mi wszystko i wtedy zobaczymy, czy mogę ci jakoś pomóc. Zgoda?

– Da – tym razem nie zwróciła uwagi na język. – Ja w Polsce jestem trzy tygodnie. Przyjechałam tu z Karagandy, za pracą, moja siostra stryjeczna mienia namówiła. Miałyśmy we dwie mieszkać, ale ona wyjechała, zanim dotarłam. Pracę jej dali w Niemczech i musiała się bystro zdecydować. Nadała mi SMS z adresem domu i rabotu. A potem już nic...

Próbowałam się skoncentrować, ale ciężko mi się słuchało tego, co mówiła Aliya. W podstawówce uczyłam się rosyjskiego, ale to było bardzo dawno i niewiele pamiętałam, a ona nie dość, że wtrącała rusycyzmy, to jeszcze miała problemy z właściwym dopasowaniem polskich słów.

– Poczekaj – przerwałam jej. – Musisz mówić wolniej i starać się lepiej dobierać słowa. Dasz radę?

– Dam – miała poważną minę – w pracy muszu takoj mówić.

– Dobrze, więc spróbujmy jeszcze raz. Przyjechałaś z Karagandy do pracy, miałaś zamieszkać z kuzynką, która już tu była. Zanim dotarłaś na miejsce, ona wyjechała do Niemiec, bo dostała lepszą ofertę. Zgadza się? – Starałam się uporządkować lawinę informacji.

Aliya skinęła potakująco głową.

– Ty dostałaś tylko SMS-a z namiarami na pracę i mieszkanie. Więcej się do ciebie nie odzywała? – podsumowałam. – A możesz mnie oświecić, gdzie leży Karaganda? – Mimo moich wysiłków intelektualnych, nazwa nic mi nie mówiła.

– Nu jak gdzie? – Dziewczyna spojrzała na mnie zdziwiona. – W Kazachstanie przecież.

– W Kazachstanie? – Powtórzyłam zaskoczona. – Ale to będzie ponad trzy tysiące kilometrów – w głowie próbowałam pouklądać sobie granice Azji i Europy. – Co ty tutaj robisz?

– Do Karagandy jest ponad cztery tysiące kilometra – sprecyzowała. – Ja mogu tu rabotać, bo mam Kartu Polaka. Moja babuszka był Polka, ją w 1936 roku wywieźli z Adamówki. To obwód Marchlewski – dodała szybko, widząc moją konsternację. – Ona mienia wychowywała, bo rodzice zginęli, jak byłam maljeńka. A jak pół roku temu pomarła, to ja pomyślała, że nic mnie tam nie trzyma, nie mam żadnej rodziny i czas na lepszą przyszłość. Wiedziałam, że Galina rabota w Polsce, więc się z nią porozumiałam, ale teraz sama już nie wiem, czy dobrze zrobiłam. Ona telefon ma zgaszony. – Znowu myliła słowa,

ale przynajmniej zastępowała je polską wersją. – Ja pojechała do tego hotelu. Wiedzieli, że będę, Galia im powiedziała. Dostałam pracę, wcześniej z rana jestem pokojową, a wieczorami pomagałam w kuchni.

– Gdzie ty właściwie pracujesz?

– W Szelmentcie...

No tak, Szelment. Rzeczywiście był tam duży, całoroczny ośrodek wypoczynkowy i to podobno nawet całkiem niezły. Czytałam o nich, jednak jeszcze tam nie dotarłam. Centrum położone u stóp Góry Jesionowej, przy jeziorze o tej samej nazwie co miejscowość. Przy okazji dysponował wyciągiem narciarskim, dokąd zimą tłumnie przyjeżdżali Litwini, którzy w swoim płaskim kraju nie mieli zbyt wielu takich atrakcji.

– Dobrze cię tam traktują?

– Praca, jak praca... – Wzruszyła ramionami. – Wsio w porządku jest. Dużo trzeba robić, ale uszanują i płacą uczciwie. To nie z nią ja problem mam. Jak ja przyjechała, to w tym domu, co miałam żyć, nie było nikogo. Galina napisała, że klucz jest pod... no jak to będzie... – zastanowiła się. – Pod gankiem. Chałupa stara, drewniana, nie było tam nikogo, ale nagrzone, czysto, nowa pastiel i ręcznik, a na stole pismo do mienia – podała mi pogniecioną, zadrukowaną kartkę.

– Mam przeczytać? – Nie byłam pewna, czego oczekuje.

– No, da, ty czytaj.

Pani Aliyu,

Witamy w Polsce. Niestety, ciocia nie może powitać Pani osobiście, przebywa obecnie w szpitalu, ale Galina poinformowała mnie, kiedy Pani przyjeżdża, więc mam nadzieję, że udało mi się wszystko przygotować.

Zgodnie z ustaleniami opłaty wynoszą 500 zł za pokój plus woda i prąd, dzielone na liczbę domowników, do tego kaucja zwrotna

w wysokości 700 zł. Chwilowo będzie Pani mieszkać sama, ale jest jeszcze jeden wolny pokój, więc jeżeli zna pani osobę, która chce wynająć mieszkanie, to proszę o kontakt telefoniczny.

Do Pani dyspozycji pozostają kuchnia, łazienka, wybrany przez Panią pokój i wszystkie pomieszczenia gospodarcze na parterze budynku. Uprzejmie proszę o niewchodzenie na piętro, które jest zamknięte i stanowi przestrzeń użytkową cioci.

W środę podjedzie do Pani mój znajomy, który odbierze pieniądze i pokaże jak obsługiwać piec, do tego czasu nie trzeba tam zaglądać, węgla powinno wystarczyć. Poza tym nikt nie będzie Pani niepokoił, proszę się czuć jak u siebie w domu.

*Życzę miłego pobytu,
Radosław Wolłejko.*

List niby całkiem niewinny i normalny, ale z niewiadomych powodów budził mój niepokój. Odwróciłam kartkę, na drugiej stronie dopisano ręcznie numer telefonu komórkowego, nic więcej. Jedno nie ulegało wątpliwości, napisała go osoba wykształcona i kulturalna, poza tym niewiele się z niego dowiedziałam.

- I co, przyjechał ten znajomy? – zapytałam, oddając jej list.
- Tak, przyjechał, ale dziwny był on. Mrukowaty jakiś. Pieniądze wziął, pokazał co i jak w kotłowni, drewna nanosił do angielski, ale patrzył tak, że muraszki biegły po mnie.
- Co biegło? – Mój zasób rosyjskiego słownictwa był zdecydowanie za mały.
- No te... ciarki. Spode łba spoglądał, gawarił niemnoszka...
- Aliya, błagam – jęknęłam. – Mów po polsku.
- No mówię przecież – obraziła się. – Jemu źle z oczu patrzyło.
- Ale zrobił ci coś? Był nieprzyjemny?

– Nie – pokręciła głową – ale to był zły człowiek. Ja to czułam. – Na samą myśl zadrżała i otoczyła ramiona rękami.

– Przedstawił się jakoś?

– Nie.

– Dobrze – westchnęłam. Powoli miałam dość całej tej rozmowy, tym bardziej że do niczego nie prowadziła. – A gdzie tu duchy?

– Ano są – spoważniała nagle. – Przez pierwsze dni było spokojno. Zaczęło się tydzień po moim wejściu do domu. Pierw usłyszała ja wołanie. To był środek nocy, a ktoś wołał moje imię. Ja myślała, że mnie się przyśniło – mówiła teraz z większymi przerwami starannie dobierając polskie słowa – ale to się powtórzyło następnej nocy, i znowu następnej, i znowu... Co noc w tym samym czasie. Głos kobiety szeptał „Aliya, uciekaj”.

– Poczekaj, chcesz powiedzieć, że co noc o tej samej porze ktoś ci mówi, że masz uciekać?

– Da – przytaknęła.

Poczułam mrowienie na skórze. Czemu znowu mnie to spotyka? Nawet trzy miesiące nie minęły od budzących grozę wydarzeń w moim siedlisku, a ja znowu mam na głowie duchy?

– O której to się dzieje? – zapytałam na przekór sobie.

– Zaraz po dziesiątej w nocy.

– I masz jakies podejrzenia? Wiesz co lub kto to może być? – W odpowiedzi przecząco pokręciła głową. – Dobrze, to co jeszcze się wydarzyło? – spytałam zrezygnowana.

– Ooo, mnoga! Gina mienia rzeczy, zapala się i gaśnie światło, skripią drzwi i podłoga, a czasem same przestawiają się przedmioty – wyliczała na palcach.

– Aliya, ja też czasem nie mogę czegoś znaleźć, albo położę w takim miejscu, że sama się potem dziwię. Ściany i podłoga mogą skrzypieć, mówiłaś, że to stary, drewniany dom, a światło i u mnie przygasa, jak

sąsiedzi włączają dojarki i taśmociąg. To stara infrastruktura, spójrz na te słupy i linie energetyczne, to się wszystko do wymiany nadaje. – Próbowałam jej przemówić do rozumu.

Zresztą wcale nie kłamałam, od jakiegoś czasu męczyłam elektrownię, bo codziennie około godziny 16.30 przygasają u mnie wszystkie światła. Przyjechali, zrobili dochodzenie i okazało się, że to nadmierne obciążenie linii energetycznej w czasie obrządku krów w sąsiednim gospodarstwie. Pewnie wszystkie te jej rewelacje też da się jakoś logicznie wytłumaczyć.

- To pojedź ze mną – zaproponowała nagle.
- Gdzie? Do tego twojego domu?
- Tak, do mienia – wwiercała się we mnie tymi swoimi ogromnymi oczyskami.
- Ale...
- Sama widzisz, że też się boisz – przerwała mi.
- Nie boję się, ale to bez sensu. – To była ostatnia rzecz, na jaką miałam ochotę.
- Nie dla mienia! – Miała łzy w oczach.
- Dobrze – westchnęłam ciężko, wiedząc, że będę tego żałowała i znowu pakuję się w kłopoty. – Gdzie ty właściwie mieszkasz?
- W Szurach, to małejkiej wieś, do raboty mam tolko pięć kilometrów – twarz jej poweselała. – To pojedziesz za mną?
- Pojadę! – Zrezygnowana, skinęłam głową. – Ubieraj się i jedziemy, póki jeszcze jasno.

* * *

Szury okazały się niewielką miejscowością położoną w gminie Szypliszki. Jechałam za autem Aliyi, które z trudem radziło sobie na wyboistych nierównościach drogi. Ale miejsca, które mijaliśmy, były

przepiękne. W pagórkowaty teren wcinały się małe i większe jeziora, mniej niż u nas było olszowych lasów stojących w rozlewiskach, za to więcej brzoź i sosnowych zagajników. Trawa zaczynała się już mocno zielenić, gdzieś widać było żółte kępy ziarnopłonu, a na mijanych drzewach można było dostrzec pąki liści. Sielanki dopełniały spacerujące bociany, zupełnie obojętne na jednostajne odgłosy silnika.

Właśnie przejeżdżałyśmy przez Leszczewo, wieś letniskową, w której dominowały kwatery agroturystyczne, tuż za nią powinny być Szury. Z drogi asfaltowej wjechałyśmy na pobrużdżoną polną dróżkę, od razu zatęskniłam za swoją rozjeżdżoną szutrówką, którą przeklinałam kilka godzin temu. To, czym jechałyśmy teraz, trudno było nawet nazwać drogą, to był pełen dołów, gliniasty survival, a cinquantotto Aliyi z trudem parło do przodu. Na szczęście nasza podróż nie trwała zbyt długo, minęłyśmy przekrzywiony krzyż ogrodzony białym, metalowym płotkiem i ozdobiony niegdyś kolorowymi, a teraz wyblakłymi i brudnymi girlandami sztucznych kwiatów, i zaraz za pierwszym zakrętem ukazała się mała wiejska chata.

Drewniany budynek wyglądał jak setki podobnych w okolicy. Konstrukcja z ciemnych, smołowanych desek, podmurówka z kamieni polnych, białe, malutkie okienka i dach kryty eternitem, miejscami porośnięty mchem, a przed domem obowiązkowa, koślawa ławka zbita z deszczulek. Poza tym było niewiele więcej. Za podwórko służył gliniany, wydeptany, niczym nieutwardzony plac, obok stała stodoła zamknięta na dużą kłódkę, a zamiast ogrodu tył domu obejmował las. Tutaj takie domy były wszędzie, można je było spotkać w każdej suwalskiej wsi i nadal były zamieszkałe.

Aliya zaparkowała auto i spojrzała na mnie.

– Wchodzimy? – zapytała niepewnie.

– Po to przyjechałyśmy. – Uśmiechnęłam się pokrzepiająco. – Wchodzimy.

Aliya obróciła klucz i popchnęła skrzypiące drzwi. W nozdrza uderzył mnie zapach stęchlizny, przesycony domieszką jakiegoś impregnatu, charakterystyczny dla starych drewnianych budowli. Weszliśmy do środka. W sieni panowała ciemność, dziewczyna przekręciła czarny włącznik, taki, jaki ostatni raz widziałam, będąc dzieckiem, i przedpokój zalała fala żółtego światła, sączącego się z mlecznego plafonu. Moim oczom ukazało się troje zamkniętych drzwi i drewniane schody prowadzące na górę. Aliya nacisnęła klamkę pierwszych z prawej, i znalazłyśmy się w niewielkiej kuchni. Można by pomyśleć, że cofnęłyśmy się w czasie. Drewnianą podłogę przykrywały ręcznie tkane, pasiaste chodniki, w oknach wisiały zazdrostki, a pod sufitem zawieszono oryginalną lampę, przypominającą odwrócony, wiklinowy koszyk. Przy samym wejściu stał stary, kaflowy piec, a obok, z niewiadomych powodów, ktoś upchnął starą angielkę. Zaraz za nią zamontowano żeliwny zlew bez żadnej obudowy, który stykał się z kredensem, takim jaki pamiętałam z domu mojej babci. Miał szeroką podstawę z licznymi szafkami i szufladami, a w nadstawce zamontowano przeszklone witryny, w których widać było różnokolorowe kubki i talerze. Całości dopełniał prosty, drewniany stół i krzesła w tym samym stylu, a przy samej ścianie stało wąskie łóżko nakryte kilimem. Poza tym nie było żadnych ozdób, kwiatów, krzyża czy świętych obrazów, tak charakterystycznych dla wiejskich domostw.

Aliya bez słowa przeszła przez środek pomieszczenia i kolejnym kluczem otworzyła następne drzwi. Pokój był jeszcze mniejszy. Ledwie mieściła się w nim szafa, krzesło, mała komódka i tapczan nakryty kocem w rudo-zieloną kratkę. Wszystko było czyste, ale stare i odbrapane, w oknach wisiały wyblakłe, kwieciste zasłonki, a w rogu pstrokatego lustra ktoś zatknął dwa święte obrazki.

– Nu, to mój pokój – zatoczyła ręką półkole.

Zrobiłam krok w stronę okna, za którym widoczna była ściana lasu, deski zaskrzypiały głośno, w takim domu nie trzeba żadnych duchów, żeby się czuć nieswojo.

– Wygląda całkiem normalnie – wzruszyłam ramionami.

Nie bardzo wiedziałam, co powinnam teraz zrobić. Kiedy szukałam przyczyny zjawisk nadprzyrodzonych w moim domu, reagowałam na konkretne sytuacje, odgłosy, mgłę, widma. Tutaj nie było nic takiego. Może dom trudno było nazwać przytulnym, ale był zupełnie zwyczajny. Nie jestem żadnym medium ani pogromcą duchów, ta sytuacja i oczekiwania Aliyi zdecydowanie mnie przerastały.

– Teraz tak, ale nie wtedy, co się tu dzieje. Wtedy jest bardzo straszno – wzdrygnęła się.

– A co się dzieje w tym pokoju? – spytałam, aczkolwiek wolałabym nie usłyszeć odpowiedzi.

– Ja już mówiła, słyszę szepty, które każą mienia ubiezać – zawałała się – i to chyba mówi Galina. – Znowu mieszała słowa.

– Dlaczego uważasz, że to mówi Galina? – Zaskoczyła mnie tym stwierdzeniem.

– Bo Galia podobnie szepieła.

– Co robiła? – Tym razem to nawet żadnych skojarzeń nie miałam.

– No szepieła, jak to po waszemu jest? – Zastanawiała się. – Tak niewyraźnie mówiła.

– Sepleniała? – Olśniło mnie.

– No da, sepleniała, tak śmieszno mówiła „r”. I ten głos wieczorem też tak brzmi – potwierdziła z poważną miną. – Jak zostaniesz, to i ty usłyszysz.

Spojrzałam na zegarek, zaledwie dochodziła siedemnasta. Musiałabym tu spędzić kolejne pięć godzin. Nie uśmiechało mi się takie marnotrawstwo czasu, tym bardziej że nie przemawiała do mnie cała ta historia.

– Pokaż mi resztę pomieszczeń – powiedziałam, pomijając milczeniem jej stwierdzenie.

Ponownie przeszliśmy do kuchni i wysłaliśmy na niedoświetlony korytarz. Aliya otwierała kolejne drzwi. Za pierwszymi krył się pokój, bliźniaczo podobny do tego, który zajmowała ona, za drugimi prosta, żeby nie powiedzieć surowa, łazienka.

To pomieszczenie sprawiało najgorsze wrażenie w całym domu, zamiast kafelków na ścianach widniał tylko surowy tynk, z sufitu, bez żadnej osłony, smętnie zwieszała się żarówka wkręcona bezpośrednio w osadkę, a na podłodze rozłożono wytarte linoleum. Na wyposażenie łazienki składał się obtłuczony brodzik, dookoła którego ktoś zawiesił półprzezroczystą, pomarańczową zasłonkę, sedes z żółtymi zaciekami, mikroskopijna umywalka, i pęknięte lustro, pod którym zamontowano plastikową półkę zapakowaną kosmetykami lokatorki. W rogu stała pralka, stara pocziwa przedpotopowa Frania, a na niej duża emaliowana miska. Nic szczególnego.

– Dlaczego wybrałaś pokój przy kuchni? Przecież tamten jest dokładnie taki sam, a masz bliżej do toalety i nie słyhać hałasów z kuchni – zapytałam, wycofując się z obskurnej łazienki.

– Bo tam mieszkała Galina. Widziałaś na lustrze święte obrazki? To Gali, nie rozstawała się z nimi i nigdy by ich tu nie zostawiła – odpowiedziała, zanim zdążyłam potwierdzić.

No tak, wieczorne szepty, których poza Aliyą nikt nie słyszał, trzeszczące podłogi i obrazki zatknięte w ramie lustra, to trochę za mało, żeby uznać, że dzieje się tu coś niedobrego.

– Posłuchaj – starałam się, żeby mój głos brzmiał uspokajająco i rzeczowo – wiele jest takich obrazków, to jeszcze o niczym nie świadczy.

– No może niet – zachnęła się – ale jak wytłumaczysz to wszystko? – Zatoczyła ręką bliżej nieokreślone koło.

Westchnęłam ciężko, nie miałam gotowej odpowiedzi na jej pytanie. W zasadzie to nie miałam żadnej, chciałam ją tylko uspokoić i jak najszybciej wrócić do domu i swoich audytów. Poza tym nie czułam się najlepiej w tej chacie. Nie chciałam się do tego przyznać, ale miałam irracjonalne poczucie, że od chwili, kiedy tu weszłam, ktoś mi się przygląda. Rozejrzałam się uważnie na boki, może są tu jakieś ukryte kamery? Gołe ściany nie pozostawiały żadnych wątpliwości, trudno byłoby coś w nich schować.

Jeszcze raz westchnęłam, wiedziałam, że muszę to jakoś zakończyć, ale nie miałam pomysłu, jak mam się teraz z tego wszystkiego wymiksować? Boże! Po co ja tu właściwie przyjechałam?

Emocje musiałam mieć wypisane na twarzy, bo Aliya przyglądała mi się uważnie, chociaż niewłaściwie zinterpretowała moją minę.

– No wizu, że i ty się bać zaczynasz – stwierdziła drżącym głosem.

– Nic z tych rzeczy! – W jednej chwili zdecydowałam, co powinienam zrobić. – Rozumiem, że na dole widziałyśmy już wszystko?

– Nu tak – potwierdziła. – Jest jeszcze kotłownia, ale tam się wchodzi z dwora. – Rzeczywiście, w sieni, obok drzwi wejściowych były jeszcze jedne, mniejsze, zamknięte na zwykłą zasuwkę. – Ty chcesz zobaczyć?

– Nie, raczej nie – zaprzeczyłam szybko. Dość miałam tego oglądania na dzisiaj. – Ty tam chodziłaś?

– Pewnie, też w piecu trzeba palić, samo się nie ogrzeje. – Uśmiechnęła się rozbawiona.

– A poddasze sprawdzałaś?

– Ale jak to? – Spojrzała na mnie zdziwiona. – Tam nie wolno chodzić, w piśmie stało, że nie wolno.

– W jakim piśmie? – Dla odmiany ja się zdziwiłam.

– No w tym... – zająknęła się Aliya – w liście, mówię przecież.

No nie do wiary! Od dwóch tygodni słyszy niepokojące odgłosy, coś do niej szepcze w nocy, a ona nawet nie sprawdziła całego domu,

bo jakiś facet napisał, żeby na piętro nie wchodzić. Pokręciłam głową z dezaprobatą.

– Chodź! – Pociągnęłam ją w stronę korytarza prowadzącego na górę.

– Ale tam nie wolno – pisnęła z przerażeniem.

– No to zostań. – Wzruszyłam ramionami. – Sama pójdę.

Słyszałam za plecami przyśpieszony oddech dziewczyny, ale nie zrobiła nic, żeby mnie powstrzymać. Kiedy podeszłam do schodów, spojrzałam przez ramię. Pobladła Aliya, stała jak wmurowana i patrzyła na mnie z niedowierzaniem. Pstryknęłam włącznik, ale światło się nie zaświeciło.

– Chyba się żarówka przepaliła – rzuciłam, szukając w komórce aplikacji z latarką.

Już po chwili korytarz rozjaśniło niebieskie światło sączące się z mojego telefonu. Rozejrzałam się z ciekawością. Korytarz zabudowany został boazerią z ciemnych, szerokich desek. Listwy sięgały sufitu, co potęgowało efekt mroku, ale w przeciwieństwie do parteru, gdzie nie było żadnych ozdób ani elementów osobistych, na ścianach wisiało kilka sporych zdjęć. Wszystkie były czarno-białe. Stałam przy pierwszym z nich.

Przedstawiało dom, przed którym zebrano kilkuosobową rodzinę. W centralnym punkcie ustawiono krzesło zajmowane przez seniorkę rodu. Na głowie miała związaną koronkową chustkę, spod której wysuwały się niesforne kosmyki włosów, ręce opierała o sękaty kij. Obok niej ustawiono trzech dość podobnych do siebie mężczyzn. Panowie byli w sile wieku, każdy miał białą koszulę zapiętą pod szyję i ciemną kamizelkę. Po drugiej stronie stały trzy kobiety, ubrane równie popolicie jak cała gromada: bluzka, spódnica i fartuch. Włosy każdej z nich okrywała chustka, co świadczyło o ich zamężnym stanie. Obstawiałam, że mężczyźni to bracia, być może synowie starszej pani,

a po lewicy stały małżonki tych trzech jegomości. Wprawdzie zwykle do zdjęć ustawiało się parami, ale być może fotograf miał inną wizję tej rodziny. U stóp starszyny siedziało pięcioro dzieci w wieku od kilku do kilkunastu lat, trzy dziewczynki i dwóch chłopców.

Nic szczególnego, zwykle zdjęcie rodzinne, pochodzące prawdopodobnie z początku ubiegłego stulecia. A jednak było tam coś niepokojącego i wcale nie chodziło o to, że dorośli mieli ponure miny i zaciśnięte usta, tak jakby fotograf ustawił ich tam za karę. Wzrok przyciągały dwie jasnowłose dziewczynki, które kuczały u stóp babki. Bez butów, ubrane w proste, kwieciste sukienki, z wstążkami wplecionymi w warkocze, trzymały się za ręce. Jedna z nich uśmiechała się szeroko, ale wyrazu twarzy drugiej nie potrafiłam odgadnąć. Zarówno jej buzia, jak i sylwetka miały rozmyte kontury. Wyglądała tak, jakby na postać namalowaną akwarelką spadła kropla wody.

Nie wiem, co mogło dać taki efekt, aż tak nie znałam się na fotografii, szczególnie tej sprzed ponad wieku, ale poczułam się niewyraźnie. Z trudem odwróciłam wzrok i postawiłam stopę na kolejnym stopniu. Schody zaskrzyptały przeraźliwie.

– Wsio w pariadku? – Usłyszałam zaniepokojony głos Aliyi.

– Tak, w porządku – potwierdziłam. – To tylko schody – dodałam uspokajająco.

Kolejne zdjęcie wykonano na tle kwitnącego sadu. Na krześle ponownie usadzono tę samą starowinkę, ale pochyliła się nad nią młoda roześmiana dziewczyna, której wiatr beztrudnie rozwiewał włosy. W zestawieniu z poprzednim ponurym zdjęciem ta sielanka uchwycona na fotografii była tak optymistyczna, że poczułam, jak schodzi ze mnie całe napięcie. Wzięłam głęboki oddech i pokonałam kolejne skrzypiące schodki.

Następny kadr stał mi uśmiech z twarzy. Zdjęcie przedstawiało wnętrze chaty typowej dla początków XX wieku. Bielone ściany

ozdobiono poziomym, kwietnym wzorem, powyżej którego zawieszono kilka świętych obrazów, z wizerunkiem Matki Boskiej w centralnym punkcie. Malowidła przystrojono wiankami ziół i pękami kłosów zatkniętymi za ramy. Poniżej rozpięto haftowaną makatkę, do której powinno być dosunięte łóżko, ale zamiast niego stała duża drewniana platforma. Obok umieszczono prosty stołek z masywnym krzyżem i płonąca gromnica postawionymi na siedzisku przykrytym serwetką.

I to właśnie platforma przyciągała wzrok oglądającego, a właściwie to, co na niej stało – surowa, drewniana trumna, wyłożona białym, obrębionym koronką materiałem, w której spoczywało wątłe ciało staruszki. To była kobieta z wcześniejszych fotografii tylko bardziej pomarszczona i drobniejsza. Ubrana w czarną sukienkę, z czarną chustką na głowie, wyglądała jak lalka w za dużym pudełku. Tylko jej pobrużdżona i wykrzywiona nienaturalnie twarz, wyraźna, pomimo słabej technologii i wieku zdjęcia, wskazywała jak sędziwych lat dożyła. Nierzeczywisty obraz dopełniała książeczka do nabożeństwa wetknięta w dłoń owinięta różańcem.

Z niewiadomego powodu czułam niepokój, patrząc na to zdjęcie, mimo że wcale nie powinno mnie szokować. Jeszcze w połowie lat 80. ubiegłego stulecia powszechny był zwyczaj wyprowadzania ciał zmarłych z domu, gdzie aż do czasu pochówku odmawiano różaniec i opłakiwano nieboszczyka. Szeroko rozpowszechniona była też fotografia funeralna. Każda szanująca się rodzina miała wówczas w albumach nie tylko zdjęcia ze ślubu, ale i z pogrzebu.

A jednak było w tym zdjęciu coś, co sprawiało, że narastał we mnie lęk. Teoretycznie pośmiertny skurcz malujący się na jej twarzy nie powinien niepokoić. Biorąc pod uwagę ówczesny niedostatek lekarstw i lekarzy, istniało całkiem spore prawdopodobieństwo, że kobieta umierała w bólu, a stężenie pośmiertne ustępowało dopiero trzeciego, czwartego

dnia, kiedy rozpoczynał się proces gnilny początkujący rozkład. Ale ta twarz przepełniona była nie bólem, lecz nienawiścią i strachem. Nie byłam specjalistką od psychologii, jednak trudno pomylić tak wyraźne emocje. Przysunęłam bliżej telefon, żeby lepiej doświetlić zdjęcie. Nie wiem, czy to efekt wieloletniego działania słońca, czy też gra światłocieni, ale dokładnie nad ciałem starszej pani widać było coś, co można było uznać za mgliste, lustrzane odbicie postaci leżącej w trumnie.

– Matylda, jesteś tam? – Podskoczyłam przestraszona, słysząc wołanie Aliyi.

– Tak – ledwie panowałam nad drżeniem głosu – daj mi jeszcze chwilę. (...)